

Zoliborski „Król włóczegów”

(W) Nie tak dawno Stanisław Grzelecki proponował operację „łodówka” dla tych filmów, które choć wyprodukowane, mogłyby przed wejściem na ekran, ulec zamrożeniu, bez szczególnej straty dla licznej rzeszy komanów. Może „łodówka” przydałaby się także i w teatrze?

Wiadomo, argumenty przeciwko takiej operacji są liczne i pełne sugestywnej wymowy — twórcy mają prawo do błędów, nie wolno lekceważyć niemałego wysiłku zespołu, gusty publiczności nie są nadal spójne z gustami recenzentów, no i wreszcie koszty. Proszę pokazać tego odważnego, który pokaza, okragłą sumę pieniędzy gotówką spisać na konto strat artystycznych. Można w tym miejscu przekornie zapytać — ktoż to wydaje zezwolenie teatrom na podjęcie prób z tych sztuk, które nie znajdują tu nie tylko godnej, ale także w miarę przyzwoitej obsady? Podobnie jak warto by odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczegoż to nasi reżyserzy bez zbyteńnego łęku podejmują się pracy nad poycjami, które w konkretnej sytuacji, niemal z góry skazane są na niepowodzenie? Odpowiedzi na te pytania nie będzie; takie dywagacje wykraczają poza ramy gazetowej recenzji.

Tak więc, zoliborski Teatr Komedia wystawił „Króla włóczegów”

Frimla. Romantyczna komedia muzyczna otoczona legendą dawnych realizacji (i tych sprzed wojny i tej po wojennej), romantyczna, barwna, chwilami rozlewna, chwilami pełna na werwy i życia, bogata swoim własnym rytmem, ubarwiona scenami zbiorowymi, poprzez melodie znana nawet tym, którzy nie widzieli jej nigdy na scenie. Spratać legendzie niełatwo — wystawić „Króla włóczegów” można, gdy dysponuje się śpiewającym zespołem, gdy ma się po temu odpowiednio sporą scenę, a także osobiste predyspozycje po temu, by inscenizować ten gatunek twórczości sceniczej.

Niepowodzenie? Chyba tak. Ze smutkiem oglądało się tego „Króla włóczegów”, który tylko chwilami potrafił zaciekać i porwać publiczność, który skłaniał nie raz do spuszczenia oczu na znak całkowitego zażenowania. Zespół Teatru „Komedia” choć sposobiony od lat do śpiewu i tańca nie potrafił sprostać zadaniom. Nie pomógł mu w tym ani reżyser, ani scenograf.

ADAM KILIAN zabudował niewielką scenę możliwie najszlachetniej i to w sposób nader dziwny, jakimś budowlami godnymi teatru kukielkowego, ubrał aktorów nie tylko nieestetycznie, ale chwilami rażąco, brzydko i wulgarnie, nie wiadomo zresztą dlaczego ich stro-

je przypominają raczej Wschód niż Paryż. WOJCIECH SIEMION nie dysponował tłumem statystów, więc najpiękniejsze sceny zbiorowe skracal swobodnie, lub po prostu usuwał, rozgrywając wszystkie pozostałe w sposób umownie prymitywny. Przygotowanie wokalne pod kierownictwem ROMANY KREBSOWNY pozostawiało więcej niż wiele do życzenia, podobnie jak instrumentacja pandów: M. CZUBATEGO, W. MACHANA, M. NOWAKOWSKIEGO, E. PALLASZA.

Cóż jeszcze? Królem włóczegów był dobrze prezentujący się ROBERT POLAK, który jednak nie dysponuje dobrym głosem, a co gorzej — razi złą dykcją. Katarzyną de Vausselles była IGA CEMBRZYŃSKA, co trzeba pominąć milczeniem. Oklaski zbierał BOGUMIL KLÓDKOWSKI za rubaszny humor w roli Jacka Toisona, wwróżniała się śpiewem IZABELLA HREBNICKA, jako Marlon, cyganka. SATURNIN ZURAWSKI obnosił kamienną twarz jako król Ludwik XI.

PS. Dyrekcja Teatru uprzejmie zawiadomiła w dzień po prasowej premierze, że aktorka Iga Cembrzyńska była w dniu występu ciężko chora. Wydaje się, że eksploatawanie sił chorych osób nie leży nie tylko w interesie teatru, ale jest sprzeczne z normami postępowania obowiązującymi dość powszechnie.

Teatr Komedia: Rudolf Friml — „Król włóczegów”, libretto i teksty piosenek: Brian Hooker, Russel Janney i W. H. Post, przekład: Tadeusz Sygietynski, piosenki: Julian Tuwim i Adam Marecki, opracowanie dramaturgiczne: Adam Mirecki, inscenizacja i reżyseria: Wojciech Siemion, scenografia: Adam Kilian, choreografia: Izabella Garzkowska, przygotowanie wokalne: Romana Krebsówna, orkiestra dyrygował: Wiesław Machan.

Typie Warszawy 1966 nr 219 s. 5